ROK IV. Krzemieniec, marzec-kwiecień 1929 r. № 7-8.



Miesięcznik Młodzieży Liceum Krzemienieckiego

wydawany przez Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera
Bratniej Pomocy Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Treść numeru:

D

w

z

w

a

c

Pieśń krajoznawcy.

I.

Dziewiczych skał błysły złociste korony,
wiatr ranny już sine zawoje
z nich zwlókł,
więc wstawaj co żywo, o bracie z pod „Bony",
ażeby z pustemi wiadrami dziewoje
dążące po wodę nie przeszły ci dróg...

II.

Pójdziemy przez wzgórza, przez lasy i jary,
przez słońcem rozśmiane doliny
we świat...
Z wichrami górskiemi chwycim się za bary
a z góry nam będą czeremchy, jaśminy
sypały na czoła śniegowy swój kwiat...

III.

Pijmy czar poranka, gdy słońce w nim gości,
nektaru spitego do syta
nie żal...
Oprzyjmy się śnieżnem swem skrzydłem młodości
na Karpat kryształęm świecących granitach,
a drugie rozścielmy u polskich aż fal!...

IV.

A kiedyś nam ziemię tę żyzną a czarną
Opasze przejasnych lśnień wstęga
we wschód,
gdy nasze ramiona ją młode ogarną
i ciche ugory pól zorzy potęgą,
miłością rozkwiecą i ziemię i lud!...

11.I.—1929 r.

Seweryn Malwa.

WODNYM SZLAKIEM. (c. d.)

Wołyń - Polesie.

Łodzie nakształt łabędzi pruły swą piersią gładką powierzchnię wody. Styr wijąc się wpadał między strome lessowe ściany, zakrywające nam Łuck, to znów biegł między kwieciste łąki, ukazując szeregi schylonych kosiarzy, albo ginął między nadbrzeżnemi łozami i wierzbami, by wypłynąć w innem miejscu, przerżnąć się przez pola, lasy, wzgórza i wreszcie wraz z wodami innych rzek zginąć w nigdy nienasyconem morzu.

Wyrwawszy się z miejskiego chaosu i zamętu, znaleźliśmy się wreszcie na łonie przyrody. Słońce wznosząc się na nieboskłonie, zaczęło coraz mocniej dopiekać. Wtem uderzył z zachodu silny wiatr, zasłaniając widnokrąg czarnemi chmurami. Pochyliły się drzewa w poważnym ukłonie, zachwiały się łodzie i zaczęły coraz częściej brzegi zwiedzać. Nadomiar złego sypnął się rzęsisty deszcz, mocząc wszystkich do nitki. Jak szybko zjawił się deszcz, tak też i szybko zniknął. Tylko silny zachodni wiatr i zachmurzone niebo pozostało się po deszczu. Chrzest był dokonany.

Wkrótce wszystko wróciło do normalnego stanu, tylko dziobowy, leżąc na kajucie i szczękając zębami, krzyczał: w lewo, w lewo!... prawo mocniej!... lewo przestać! i t. p.

Nastrój był niewesoły. — Zaczęliśmy się poważnie zastanawiać nad przyszłemi przeszkodami. Bądź co bądź odzywała się rogata dusza wołyniaka „Nie damy się! Nie będzie takiej przeszkody, którejbyśmy nie mogli zmóc. Nie tylko Krzemieniec reprezentujemy, ale cały Wołyń. Na masztach powiewają bandery Wołynia, społeczeństwo wołyńskie przez usta swych przedstawicieli wyraziło nam swe zaufanie, więc musimy wytrwać i zwyciężyć.

Przy miarowem pluskaniu wioseł łodzie coraz dalej się posuwały, uwidoczniając nowe krajobrazy. Wiosłując do wieczora, zrobiliśmy dwadzieścia parę kilometrów. Na nocleg zatrzymaliśmy się przy spadzistym brzegu, porośniętym lasem. Wszystko

mokre w zimnej atmosferze przyprawiało nas o febryczne dreszcze. Udaliśmy się do lasu na poszukiwanie drzewa na ognisko. Na nieszczęście las był dobrze utrzymany i suchych gałęzi nie można było znaleźć.

Biedny kucharz namozolił się dobrze, nim ugotował kolację. Lecz jakież było jego rozczarowanie, gdy dowiedział się, że połowa wioślarzy zrezygnowała z kolacji i udała się na spoczynek. Reszta wypiła herbatę, orzekając, że jest trochę przydymiona, ale na głodne żołądki to nic nie szkodzi. Wkońcu przy akompanjamencie bekasów i cichego szeptu lasu — wszystko bractwo zażywało zasłużonego odpoczynku, tylko jeden księżyc, wychyliwszy się z za lasu, pełnił straż przez całą noc.

Rano przy cudnej pogodzie ochoczo krzątała się nasza gromadka, zwijając nocne obozowisko. Po niewygodnie przespanej nocy, każdy wyciągał swe kości, a potem, stanąwszy na krawędzi kajuty, dawał potężnego szczupaka do wody.

Po kolacji z żarłocznością wilków zasiedliśmy do śniadania, zwłaszcza cudów dokazywali ci, którzy nie jedli kolacji. Po śniadaniu przy ładnej pogodzie w wesołych humorach ruszyliśmy naprzód. Zaczęto żartować z wczorajszego chrztu, posypały się dowcipy i wesołe piosenki tak, że nie zauważyliśmy, jak prędko pokazało się małe miasteczko Rożyszcze.

Przyszliśmy do obozu i wnet zapanował niebywały ruch. Kucharz z kuchcikiem zaczęli rozpalać ognisko. kwatermistrz poszedł po zakupy, jedni z nas zaczęli się kąpać, drudzy ryby łapać, reszta, rozciągnąwszy pod dębami koce, zaczęła pisać listy.

Rożyszcze to typowe żydowskie miasteczko: na ulicach jamy, w chodnikach dziury, a przy każdym sklepie na stołeczku siedzi starozakonny, wychwalając swój towar. Gdy weźmiecie jeszcze pod uwagę odrapane domy upstrzone najrozmaitszemi plakatami i szyldami, oraz pełne gruzu i śmiecia podwórka, to otrzymacie obraz wierny i nadzwyczaj efektowny.

Gdy odnosiłem listy na pocztę, wpadł mi w oczy bardzo polecany „sok malinowy" z barwy rzeczywiście podobny do

niego. Powodowany pragnienem uraczyłem się tym chłodzącym napojem, lecz potem gorzko żałowałem, że dałem się skusić na podobny napój. Po obiedzie ruszyliśmy dalej.

Rzeka, tworząc liczne zakola i pętlice, ukazywała nam nadbrzeżne łąki zamknięte czarną ścianą lasu, lub małe wioski wychylające się z poza krzaków, jak grzyby ze mchu.

Krajobraz coraz bardziej był zbliżony do Polesia.

Jechało się doskonale, wskutek tego humory były wyśmienite, tak, że zaczęliśmy urządzać regaty, była jedynie ta niegodność, że „Liceum" zaczęło coraz więcej przeciekać.

Wieczorem stanęliśmy w Sokulu. Wysiadłszy na brzeg, chodziliśmy jak kaczki. Przyzwyczajeni do ciągłego kołysania na łódkach, dziwnie czuliśmy się na stałym gruncie. Nogi mimowoli stawiało się niepewnie i z rozmysłem, jakgdyby grunt pod nogami miał się zapaść. Przy łodziach zabłysły latarnie, fantastycznie je oświetlając. Ściągnęło to masę parobków i dziewczyn, których specjalnie zainteresowały nasze harcerskie spodenki. Przypuszczam, że jeszcze niewele komedyj, wystawionych na kuli ziemskiej, miało takie powodzenie, jak nasze spodenki. Po kolacji postanowiliśmy jechać przez całą noc. Zgłosiło się 6 chłopców do prowadzenia łodzi. Reszta zmęczona całodzienną pracą, przypominając sobie dziecinne lata, ułożyła się w kolebkach, kołysanych falami rzeki.

...W porannej mgle, okrywajacej nadrzeczne łąki, sunęły cicho łodzie, wioząc śpiącą drużynę. Wokół cisza, tylko słychać było głosy błotnych ptaków, witających nowy dzień.

Wtem do tego chóru przyrody przyłącza się nowy akord, silniejszy, dźwięczniejszy, popłynął po łąkach podmokłych, wzbił się pod chmury i skonał gdzieś w głębinach leśnych. To pobudka!... Zerwały się raźno załogi, witając się nawzajem, wiosła poszły do roboty i łodzie szybko pomknęły naprzód. Wkrótce dojechaliśmy do lasku, przy którym zatrzymaliśmy się na dwugodzinny postój.

Na brzegu zawrzała gorączkowa praca. Kucharz zaczął go-

tować śniadanie jedni z nas wylewali z łodzi wodę, drudzy wziąwszy heble poprawiali wiosła lub robili zapasowe, inni znów z płacht namiotowych zaczęli tworzyć żagle. Wkrótce brzeg znów opustoszał, a łodzie, przyozdobione żaglami, sunęły dalej o własnych siłach. Słońce zaczęło coraz mocniej parzyć, wydobywając kroplisty pot z czoła wioślarzy. Z radością w południe powitaliśmy Kołki (miasteczko) jako miejsce dziennego postoju. Noc przepędziliśmy znów na wodzie.

Rano podniósł się maleńki wiatr, przy pomocy którego zaczęliśmy się szybciej poruszać. Wiatr coraz silniej wiał, więc włożywszy wiosła w dulki piórkami pod wiatr, posiadaliśmy, na ławkach przypatrując się pięknemu widokowi. Widok naprawdę był piękny. Z prawej strony rzeki nakształt zielonego dywanu ciągnęły się ciemno zielonym pasem nadrzeczne łąki upiększone białemi kwiatami kosiarzy. Wdali sina smuga lasu tworzyła obramowanie tego kobierca. Z lewej zaś strony wznosiły się małe pagórki najpierw małemi grupkami, potem w coraz większym zespole, w końcu ujrzeliśmy dominujące wzgórze nad lessami ukoronowane małem miasteczkiem. Przytem niebo bez żadnej chmurki tchnęło świeżością i życiem.

W powietrzu unosiła się subtelna harmonja dźwięku owadów i ptaków, nie zmącona żadnym dysonansem. Było w tem coś pięknego i potężnego. Wszyscy w niemem uwielbieniu słuchali, odczuwając piękno i potęgę przyrody.

Sternik wpatrzony w dziobowego, podającego znaki, lawirował między mieliznami. kierując łódź do miasteczka Czartorysk położonego na wzgórzu moreny czołowej.

Po przybyciu udaliśmy się na zwiedzanie. Miasteczko było dosyć ładne, ale ubogie. Po zwiedzeniu ruin i podziemi unickiej cerkwi powróciliśmy do łodzi, Kucharz zaczął się skarżyć, że nigdzie mleka nie można było kupić, tylko jaja. W braku laku dobra i jajecznica. Gorsze nieszczęście, że pod wpływem upału skóra na naszem ciele była tak poparzona że najmniejszy dotyk sprawiał okropne bóle. Uzio (Komarnicki) i Tolo (Żółkiewski) jako medycy, uwijali się między nami rozdając oliwę, wazelinę i t. podobne medykamenty.

Wiatr boczny ale nam sprzyjający wzmagał się coraz bardziej. Rozłożysta lipa, która stała pod cerkwią zatrzeszczała i z łoskotem powaliła się na ziemię. Styr pokrył się groźnemi zmarszczkami tylko jedno słońce uśmiechało się z poza obłoków. Po lawirowaniu wydostaliśmy się z odwagą do właściwego koryta.

Trzeba znów rozpiąć żagle, ale jest obawa, że taki wiatr wywróci łódź i cały nasz dobytek przepadnie. Lecz przyjemność jazdy na żaglach skusiła nas. Wiatr wydął rozpięty żagel, bandera silniej zatrzepotała, jak ptak wzbijający się do lotu, łódź ostro przechylwiszy się, pomknęła jak strzała. Na zakolu żagiel na chwilę zwisnął, lecz raptem wiatr go przerzucił na drugą stronę z taką siłą, że łódź całkiem położyła się na wodzie. Po chwili wyprostowała się i lekko tylko schyliwszy maszt, pomknęła naprzód. W oddali ukazał się most, więc czemprędzej zwinęliśmy żagle i zdjęliśmy maszt.

Pod wieczór dojechaliśmy do młyna, gdzie zanocowaliśmy na uświetnienie doskonałej jazdy, postanowiliśmy zgotować rosół i kakao. Wtedy okazał znajomość sztuki kulinarnej p. prof. Zaręba. Nikt nie umiał przyrządzić kurczaków, więc p. profesor wziął na siebie to zadanie i wywiązał się z niego tak znakomicie, że rosół mógł być podany w restauracji krzemienieckiej. Wkrótce zbiórka produktu i kolacja. Jako te śniegi za podmuchem wiosennego wiatru giną, zamieniając się w szemrzące potoki, tak i ten rosół niknął w naszych żołądkach zamieniając się w świetny humor żarłoków.

Nagle dał się słyszeć złowrogi szum z głuchym pomrukiem jakby ogromna jakaś rzeka wyrwawszy się ze swego łożyska ruszyła na podbój i zagładę pól, lasów i gór. Na niebie ukazała się czarna chmura, oświetlana błyskawicami. Zawrzała gorączkowa praca przy ognisku: Zaczęto nalewać kakao, ale już było zapóźno. Wiatr dmuchnął i całe ognisko wleciało do rzeki, jedna łódź zerwała się od pola i byłaby się roztrzaskała o pobliski młyn. szczęściem któryś zdążył uchwycić za linę i z wielkim wysiłkiem udało się wreszcie ją zakotwiczyć. Jednocześnie w tej chwili lunął rzęsisty deszcz. Wszyscy rzucili się do łodzi, ale

to nie uchroniło nikogo, gdyż taka nawalnica odrazu przemoczyła wszystkich do nitki. Jak szybko nas deszcz zaatakował, tak też i szybko zrejterował, pozostawiając po sobie silny wiatr. Nie bardzo mi się uśmiechał nocleg na wodzie, wołałem pod gołem niebem. Wyszedłem na ląd. Wokoło ciemność, gdzieś w dali złowrogo las szumi, wiatr ze świstem przelatuje nad rzeką, rzeka pofalowana silnie kołysze łodziami, a z nich ciągle wydobywa się jęk i pisk zziębniętych żeglarzy. Znalazłem parę węgielków, trochę drzewa i po półtoragodzinej pracy udało się wreszcie wzniecić ognisko. Następnie polano pod głowę (zamiast poduszki) i obozowe łoże gotowe.

Rano okazało się kto lepiej wyszedł. Wszyscy wyleźli mokrzy, zziębnięci, zieleni, trzęsący się od zimna. Wkrótce buchnął wesoły ogień, gotując śniadanie.

Po śniadaniu odemknięto śluzę przy młynie i łodzi odbiły od brzegu. Wzburzona rzeka cały dzień podrzucała nas na swych falach. Łódka zrobiła się nieczuła na ster, więc trzeba było sterować wiosłami. Załoga „Krzomieńczanki" wysiada na ląd i zaczyna łódź holować, załoga „Liceum" również poszła za tym przykładem. Na „Liceum" został się p. prof. Zaremba, jako sternik i dwóch wioślarzy do pomocy. Ciagnąc łódź po lewym brzegu, doszliśmy do niewielkiego bagienka. Ci, którzy zostali się na łodzi, wzięli się do wioseł, myśmy zaś zaczęli obchodzić bagno. Tymczasem, mimo wysiłku wioslarzy wiatr zapędził łódź do pobliskiej rzeczułki, wpadającej do Styru. Napróżno wioslarze wytężają swoje siły,wiatr coraz dalej znosi. Widząc takie położenie, dwóch kolegów rzuciło się wpław na pomoc, dwóch znów, dostawszy gdzieś maleńką łódeczkę (duszohubkę), podążyło również z pomocą. Nareszcie udało sie jakoś wydostać.

Zmęczeni nadmiernym wysiłkiem w zakolu zasłoniętym od wiatru, zaczęliśmy spożywać drugie śniadanie. Mimo niepowodzenia wszyscy byli w jak najlepszym humorze. Pan prof. Zaremba proponuje, żeby wysłać depeszę do pana Wizytatora tej treści:

„Do Helu mamy chęć dojechać. Prosimy o przedłużenie wakacyj o jeden miesiąc i przysłanie tysiąca złotych".

Do południa tak tańczyliśmy na falach aż do Rafałówki. Tam odpoczęliśmy i pod wieczór ruszyliśmy dalej. Teraz znów zatrzymał nas młyn. Kiedy odemknięto śluzę i spuszczono linę od promu, to już i słońce skryło się za horyzontem. „Krzemieńczanka" ruszyła naprzód. Przed młynem na chwilę zatrzymała się z jakiegoś powodu i poszła dalej. „Liceum" nabierając coraz większej szybkości, ruszyło również naprzód. Nagle coś zachrobotało, zadźwięczało i łódź momentalnie położyła się jedną burtą na wodzie. Wszyscy rzuciliśmy się na burtę przeciwną, wtenczas łódź obróciwszy sie dziobem pod prąd pochyliła się znów na drugą stronę. Instynktownie bez żadnej komendy chwyciliśmy się za wiosła i wytężając wszystkie siły oddalaliśmy się od fatalnego miejsca. Okazało się, że maszt zaczepił o druty telefoniczne, a wskutek szybkiego prądu przy śluzie łódź o mało co się nie wywróciła. Szczęściem nic złego się nie stało, a mogły być ofiary w ludziach, gdyż przy młynie duży spadek wody powoduje liczne wiry, któreby niewątpliwie wciągnęły niejednego. Ratunek również byłby niemożliwy z powodu ciemności. Po chwili zdjęliśmy maszt i szczęśliwie popłynęliśmy dalej. Późną nocą dojechaliśmy znów do młyna, przy którym zanocowaliśmy. Następne dni nic nowego nie przyniosły, tylko zbliżyliśmy się pod sam Pińsk. 8 lipca rano wjechaliśmy do Pińska, gdzie znaleźliśmy gościnę w porcie wojennym rzecznym. Łodzie mocno uszkodzone powędrowały do warsztatów na naprawę, my zaś korzystając z wolnego czasu łazikowaliśmy po Pińsku.

Pińsk należy do bardzo starożytnych grodów Rusi litewskiej, jednak o czasie założenia nic pewnego nie wiemy. Rozwija się lepiej pod władaniem Bony, lecz potem w roku 1527 pustoszą go Tatary. Następnie po rozgromieniu Tatarów przez ks. Ostrogskiego miasto powoli się podnosi, lecz gdy przystąpiło do buntu Chmielnickiego, wtenczas zostaje całkowicie zniszczone przez wojska Janusza Radziwiłła. Spłonęło około 5000 domów i zginęło 14000 ludzi. W 1784 roku zaszczycił Pińsk swoją bytnością Stanisław August Poniatowski. Po trzecim rozbiorze Polski utworzono katolicką djecezję w Pińsku. Obecnie są trzy kościoły katolickie i cztery prawosławne. Prawosławni mają tu monastyr, cerkiew soborną, trzecią cerkiew z kościoła bernardyńskiego, czwa-

tą drewnianą na cmentarzu. Teraz dzięki linji kolejowej, Pińsk jest ważnym środowiskiem handlowem, a dzięki swemu położeniu przedstawia bardzo ważny punkt strategiczny. To też rząd zwrócił na to uwagę, budując port rzeczny i lotniczy.

Po czterodniowem łazikowaniu w Pińsku nareszcie 12 lipca wyruszyliśmy w drogę. Niebo było zasłonięte chmurami, z których mżył drobny kapuśniaczek. Wsiedliśmy do łodzi i żegnani przez oficerów i marynarzy odbiliśmy od przystani portu wojennego. Ruszyliśmy w górę Piny. Wskutek bardzo małego spadku Piny trudności w jeździe pod prąd nie mieliśmy.

Mijaliśmy smutny, jednostajny krajobraz poleski: bagna, szuwary, łąki i lasy, poleszuków nieruchomo stojących z sieciami na swych duszohubkach. Przytem zachodzi dziwna harmonja między Poleszukiem a przyrodą. Ubrany w samodział zlewa się z tłem przyrody całkowicie, jedne tylko kobiety są barwniejsze. Wykuty jakby z posągu porusza się powoli, bez szelestu między szuwarami, przytem oko z uporem błądzi w głębinie wód, jakby szukając tam zaklętych skarbów. Daje to obraz charakterystyczny człowieka cichego i powolnego, który każdy ruch wykonuje z namysłem i rozwagą. Przypomniał mi się nadzwyczaj piękny obrazek gdyśmy widzieli poleszuków w nocy, wracających z połowu ryb. Bez szelestu wynurzały się jakieś sylwetki przy naszych łodziach i nikły nagle tak jak zjawy w ciemnym pomroku nocy. Słusznie Sosnowski powiedział, że... „wsłuchany w głos natury, wpatrzony w jej zjawiska, Poleszuk żyje jej życiem, nie swojem, i z tego względu jest ciekawym typem etnograficznym“.

Smutny był krajobraz a jeszcze smutniejsza pogoda, wskutek czego usposobienia były niezbyt wesołe. Mielizn było coraz więcej, więc i stacja „wylezajka“ powtarzała się coraz częściej. Ziębnięci i mokrzy wieczorem dopiero dojechaliśmy do kanału Rzeczypospolitej. Łodzie zostawiliśmy przy „jazie“ a sami udaliśmy się na kolację do jazowego.

Nazajutrz rano udaliśmy się do jazu, by przetransportować łodzie do kanału. Pogoda zapowiadała się piękna. Słońce, wychylając się z za lasu jasno oświetlało Pinę, cichutko wypływa-

jącą z ciemnej czeluści haszczy, pieściło swym blaskiem szumny kanał, który z hukiem przedzierał się przez drewniane zapory jazu, by połączyć się ze swą kochanką Piną. Jaz chociaż bardzo prymitywnej konstrukcji (zapewnie od Tyzenhauza niezmienianej) jednak wytrzymywał silny napór wody.

Różnica poziomów wynosiła 1 metr 60 cm. Jazowy zaczął powoli wyjmować deszczułki, my zaś przygotowaliśmy łodzie do przejazdu. Wrzeszcie został zrobiony otwór, przez który woda z szumem przewalała się do Piny. Sternik usiadł do łodzi, my zaś, wziąwszy za linę, pociągnęliśmy łódź do kanału. Lina wyprężyła się, łódź, wspiąwszy się jak rumak, stanęła na samym progu jazu, dotykając dziobom kanału a rufą Piny. Wioślarze nakształt posągów, zgiąwszy się w nadmiernym wysiłku, trwali nieruchomo, przedstawiając kulminacyjny punkt ostatecznego zmagania się człowieka z żywiołem. W tem lina pęka. Łódź silnie przechyliwszy się spada gwałtownie do Piny — sternik zaś kurczowo schwyciwszy za ster i zachowując zimną krew stara się, aby woda nie wyrzuciła łodzi na pobliską ławicę piasku. Szczęśliwie udaje się mu dopłynąć do brzegu, gdzie przywiązujemy liny stołowe i z niemałym trudem przeciągamy łodzie do kanału. Ponieważ mieliśmy jechać pod prąd, więc sposobem spławiaczy tratw zaczęliśmy łodzie hołować — z tą tylko różnicą, że siłą pociągową byliśmy sami. . Szliśmy przez ten sam jednostajny krajobraz poleski. Natura i na nas podziałała przygnębiająco. W dzień najrozmaitrze muchy i bąki nie dawały spokoju — a co się działo wieczorem, to tem chyba da tylko wyobrażenie statystyka bąbli na twarzy, rękach i nogach każdego z uczestników To też nic dziwnego, że każdy rad był jak najprędzej wydostać się z tej krainy. Mimo silnych upałów ciągnęliśmy łodzie dosyć szybko. Jedna łódź wyprzedzała drugą. Cóż — radaby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają — tak i tu ostygły nasze zapały, gdy ukazały się mielizny. Właściwie była to jedna wielka mielizna, ciągnąca się przez cały kanał. Przeciętny stan wody wynosi około 50 cm. Nie pomogły nic „wylezajki", ani sztuczne, właściwe motory, trzeba było kopać własne kanały, przez które łodzie przepychaliśmy. Po drodze spotkaliśmy ugrzęzłe tratwy, idące do Gdańska, własność kup-

ców żydowskich, towarzystw szkockich, albo czeskich. My Polacy możemy poszczycić się, że jesteśmy tak bogaci i wspaniałomyślni, że pozwalamy innym nabijać sobie kieszenie. Tamtejszy chłop uważa za swego pana i chlebodawcę Żyda, gdyż ów tylko daje mu możność życia. Przy jazach musieliśmy staczać formalne walki o przepuszczanie naszych łodzi, gdyż podpłacani jazowi nie chcieli odmykać jazu. Przy jednym jazie, gdyśmy się zatrzymali na nocleg koło dwóch bark napełnionych drzewem, przychodzi żyd, właściciel bark i pyta się: „Kiedy panowie jadą?“ „Jutro“ — odpowiadamy. „A w jakiej godzinie?“ „O piątej“ — znów ktoś odpowiada. „Nie! jakto o piątej — ja już dla jazowego dałem 15 zł. i dwie butelki wódki, żeby otworzył o szóstej.

Napracowawszy się w dzień każdy z nas dawał folgę swej wyobraźni i myślom przy wieczornem ognisku. W wieczornej mgle, wyłaniającej się z cichego i pełnego zadumy lasu, unosi się jakaś powaga i głębokie skupienie — siwa wstęga kanału przecina jakby siekierą ciemną pałać lasu, przy niej zaś wesoło bucha ogień rzucając wokół tajemnicze cienie. Więc każdy błądził myślą po Krzemieńcu. To znów przenosił swój wzrok na gwiazdy, na które może w tej chwili ktoś w Krzemieńcu spoglądał, na których może nie jedno oko na Helu spoczęło.

W czasie jazdy nic szczególnego się nie stało. Przy głównym jazie, od którego wody rozchodzą się w dwu kierunkach musieliśmy czekać całą dobę, gdyż szły tratwy jakiegoś czecha. Dzień po dniu robiliśmy dwadzieścia kilka do trzydziestu kilometrów, aż wreście przejechaliśmy kawał i popłynęliśmy już Muchawcem. Wreście dnia 17.VII dojechaliśmy do Kobrynia.

Dawna to jest osada i dawny zamek, który wznieśli książęta wołyńscy. Za Zygmunta I. Kobryń został włączony do w-twa Podlaskiego. Około roku 1549 Bona objęła bogate starostwo kobryńskie. Potem przechodzi Kobryń różne koleje i jest własnością Anny Jagiellonki, potem królowej Konstancji żony Zygmunta III, następnie ces. Katarzyna darowuje Suworowowi. Okolice Kobrynia to krajobraz płaski z pagórkami, lasy, błota i

grunt lekki żwirowaty. Przemysł w samym Kobryniu marny, przeważa zduństwo, szewstwo i garbarstwo, wyroby tanie, lecz złe. Handel ogranicza się do wyzyskiwania na zbożu i systematycznego tępienia lasów.

Dnia 17 lipca opuściliśmy Kobryń. Muchawiec chociaż ujęty był w jazy, jednak niepozbawiony mielizn. Teraz krajobraz powoli się przeobrażał. Już widać było dosyć duże pola, wsie przy rzece, gdzie niegdzie ukazywały się wyższe miejsca, ludzie już nawet byli weselsi. Wreszcie 19.VII zawitaliśmy do Brześcia n/B. Przybiliśmy do przystani tow. Wioślarskiego, gdzie włożyliśmy swe galowe mundury i udaliśmy się do miasta na poszukiwanie noclegu. W przystani powiedziano nam, że już jest przygotowany dla nas nocleg w szkole powszechnej, więc kierujemy do niej swe kroki. Na pierwszy rzut oka Brześć wywiera przygnębiające wrażenie. Domy porozwalane, bez okien, drzwi i kominów, w chodnikach wyboje — jedna tylko ulica dawała jakąkolwiek gwarancję bezpieczeństwa dla nóg.

Znajdujemy wreszcie pożądaną szkołę, lecz ku naszemu zdumieniu dowiadujemy się, że o nas nic nie wiedzą i skierowują nas do drugiej szkoły. Wreszcie o zmroku zmęczeni i zgrzani znajdujemy drugą szkołę, gdzie jest przygotowany dla nas pokój. Wszystkie ławki szkolne, zsunięte w jeden kąt, w drugim jeden snopek słomy, pomiędzy tem wolna przestrzeń do własnego rozporządzenia. Nareszcie nocujemy pod dachem i na stałym gruncie. Po kolacji zapanowała ciemność i bezwzględna cisza, tylko od czasu do czasu odzywały się jakieś jęki i dzikie pomruki, złorzecząc twardej podłodze. (c. d. n.)

Zenti.

HUCULI

(Z okazji przedstawienia „Karpaccy górale“ w Teatrze Licealnym).

Przedstawienie „Karpackich górali“ Korzeniowskiego, nasunęło, być może, niejednemu z nas pewne myśli, uwagi i spo-

strzeżenia. I nic dziwnego! Dramat pisany 90 lat temu, w warunkach całkowicie odmiennych od dzisiejszego stanu rzeczy, ma jednak po dziś dzień wartość dzięki odpowiedniemu ujęciu tematu, interesującej fabule, a zwłaszcza — dzięki oryginalnemu ludowemu kolorytowi.

Genezę „Karpackich Górali" wyjaśnia sam autor w artykule „O Hucułach"*) zaznaczając, że treścią dramatu jest rzeczywisty wypadek, który miał miejsce w Żabiem, na kilka lat przed jego wycieczką do Czarnohory. „W roku 1840, gdy byłem w Karpatach, żyła jeszcze we wsi Żabiu wdowa po strzelcu, którego zabił młody góral, okrutnie skrzywdzony jego nieludzkim i bezprawnem postępkiem. Po dwóch latach zbiegł z pułku, aby się zemścić za swoją krzywdę. Jego historję opowie wam z dumą każdy góral, dodając: „szczęśliwy on, jego powiesili jakby jakiego pana"**). I chociaż tematem zasadniczym utworu jest wierne odmalowanie fragmentu z życia Hucułów, z którem autor zapoznał się w czasie dwukrotnego pobytu w okolicach Czarnohory, wyczuć możemy jednak pewne zabarwienie subjektywne. Korzeniowski pisał dramat w czasie, gdy sam się znajdował w służbie u „białego cara", gdy serce jego rwało się ku ojczystym stronom, a troska o zapewnienie bytu materjalnego rodziny zmuszała go do przebywania w Rosji. Stosunki służbowe i ciągłe patrzenie na bezrząd i ucisk słabszych, przygniatająco oddziaływały na psychikę Korzeniowskiego, to też gdy w czasie wycieczek w Czarnohorę zetknął się z Hucułami i poznał ich „poetyczne życie" pełne śmiałości, wesołości, namiętnej porywczości a przedewszystkiem posunięte do szaleństwa umiłowanie ojczystych gór i odczucie ucisku i niesprawiedliwości, zrodziło się w nim dążenie do swobody i spotęgowana tęsknota znalazła wyraz w dramacie. Wiele własnych uczuć włożył on w uczucia Antosia, którego los mu był bardzo bliski bo on, jak Antoś w wojsku, czuł się osamotnionym w dalekim Charkowie i sam musiał tęsknić za ojczyzną i rodakami!

---

*) „Karpaccy Górale" wyd. Bibl. Narod. Nr. 63, str. 24-32.

**) „ " " " " " " " 32.

To subjektywne zabarwienie utworu i dążenie do napiętnowania doli ludu wolnego, nękanego i gnębionego przez zaborców, musiało ujemnie wpłynąć na jego wartość etnograficzną, a ucierpiała na tem przedewszystkiem charakterystyka Hucułów.

Korzeniowskiemu nie można wprawdzie zarzucić, że potraktował lud nierealnie, bo tak nie jest, lecz dążenie do pewnego wytkniętego sobie celu (tendencja) musiało siłą rzeczy wpłynąć na pewnego rodzaju jednostronne potraktowanie przedmiotu. Pozatem Huculi wywarli na Korzeniowskiego bardzo silne i dodatnie wrażenie, życie ich nazwał „poetycznem". Sam powiada: „zazdrościłem im poetycznego życia tam, gdzie przyroda tak wspaniała, a potrzeby tak ograniczone." Wszystkie osoby występujące w dramacie są nieco wyidealizowane. Mówią przeważnie językiem literackim, używając często rażących nas, nieco nienaturalnych zwrotów, wcale nie harmonizujących ze sferą. Antoś i Prakseda w pewnych scenach przypominają nam sielankowych pasterzy z czasów Karpińskiego, prawie przez cały czas podziwiamy bogactwo uczuć i zdolność ich odczucia prawie u wszystkich ważniejszych osób dramatu. W postaciach uwydatnił Korzeniowski niezawisłość i odczucie swobody, męskość, nadzwyczajną tężyznę w postaciach kobiecych — uczucie miłości w różnych przejawach: miłość matki, kochanki i żony zawsze idealną i szlachetną. Ujemny charakter Huculа to strzelec Prokop— „zausznik mandatarjusza" i wierny sługa cesarski, który ma swój cel: rozgospodarować się i wymieść wszystkich, co mu się nie podobają, jak śmiecie z podwórka. Ważną rolę w dramacie spełniają pieśni, oryginalne utwory poety, nie mające żadnego związku z ludowemi pieśniami huculskiemi. Pierwsza z nich „Gdzieś daleko ich pogonią
ze stryczkiem na szyi,
już im więcej nie zadzwonią
dzwony Kołomyi"

ma ścisły związek z twórczością ludową, przedstawiając niedolę górali — rekrutów, zabranych do wojska. Podobne motywy spotykane są często w ludowych pieśniach, tej jednak dotychczas nie znaleziono mimo to, że poeta mówi o niej, jako o

znanej kołomyjce. Druga pieśń „Czerwony pas" i trzecia „Hej! bracia opryszki!" to własne utwory poety, z których pierwsza w zwięzłej formie charakteryzuje nam życie i duszę górala, druga duszę i życie opryszków. Czterowiersz, umieszczony jako motto na czele dramatu, jest już wyjątkiem z oryginalnej pieśni ludowej, aczkolwiek już nie śpiewanej przez dzisiejszych górali.

Ciekawą i aktualną będzie odpowiedź na pytanie: jak przedstawiają się Huculi w dobie obecnej, bo od chwili, kiedy Korzeniowski tam był, upłynął już bez mała wiek, warunki polityczne i społeczne również całkowicie się zmieniły, a równolegle z tem i typ Hucuła musiał się zmienić.

Huculi zamieszkują okolice Czarnohory i Gorganów: niedostępności tych pasm zawdzięczają całą swą etnograficzną indywidualność, która i dziś jeszcze pociąga etnografów swem bogactwem i barwnością. Badania antropologiczne wykazały, że Huculi a wraz z nimi i inni górale karpaccy, chociaż w mniejszym stopniu, należą do rasy dynarskiej, odznaczającej się krótkogłowością, ciemną barwą włosów i wysokim wzrostem. Nie jest to więc lud autochtoniczny, lecz jacyś potomkowie pasterzy wołoskich, początkowo zamieszkujących półwysep bałkański, następnie posunęli się ku północy i tu wywarli wpływ na ludność na linji całego pasma karpackiego. Jednakże wielkie zróżniczkowanie Karpat wpłynęło również i na zróżniczkowanie się górali i dziś Hucuł mało co ma wspólnego z góralem podhalańskim mimo to, że należą do jednej i tej samej rasy.

Ongiś Huculi prowadzili prawie że beztroskie życie. Warunki terenowe w zupełności zaspokajały ich potrzeby i jedynem ich zajęciem było koczownicze pasterstwo, a raczej sezonowe wyprawy pasterskie na „połoniny", następnie polowanie i częściowo rybołówstwo.

Z czasem, kiedy olbrzymie niebotyczne lasy, pokryjające stoki gór, zaczęto eksploatować, zjawiło się nowe zajęcie, a mianowicie: spławianie drzewa licznemi i bystremi górskiemi potokami, a przedewszystkiem Czeremoszem. Coraz gęściej zaczynają się zjawiać pólka uprawne, dające Hucułowi pewnego

rodzaju przewagę nad naturą. I rzeczywiście. dzisiaj rolnictwo już i w górach traktowane bardzo poważnie, gdyż ma w sobie moc, która wyzwala górala z pod często niemiłosiernych rządów natury. Praca na roli jest stokroć cięższa niż na nizinach, bo i gleba nieodpowiednia, teren pochyły, średnia temperatura dość niska a dojrzewanie tak późne, że często we wrześniu śnieg przysypuje łany niedojrzałych zbóż. Myśliwstwu i rybołówstwu nie mogą się już oddawać z taką niepohamowaną namiętnością, jak to było przed laty, bo czekają zato kary i niebezpieczeństwa, liczne niegdyś stada, bogate majątki i rozległe połoniny, przeszły przeważnie do rąk Żydów, którzy na każdym kroku wyzyskują niedoświadczonych i mało orjętujących się w życiu społecznem, Hucułów. Górali zamożnych, o jakich wspomina Wincenty Pol, dziś wcale prawie nie spotykamy.

Materjalny byt Hucułów i wpływ otoczenia, decydujące piętno wycisnęły na ich psychice i życiu. Analizując duszę Hucuła i zastanawiając się nad genezą pewnych zjawisk, dopatrzymy się w niej zdecydowanego wpływu terenów, na których Huculi najwięcej czasu spędzają, a więc olbrzymich czarnohorskich połonin.

Ciekawe i trafne ostanowisko zajmuje w tej sprawie Rehman, który mówi: „Chociaż połoniny różnią się wielce od stepów, to nie da się zaprzeczyć, że wrażenie, jakie jedne i drugie czynią na umyśle człowieka, jest jednakowe. Widok tych niezmierzonych wyżyn ogołoconych z drzew, ale porosłych bujnemi trawami, nuży zarówno wzrok jak umysł i budzi jakąś nieokreśloną tęsknotę, która jest szczególnym rysem w charakterze Hucuła i odbiła się w ich życiu, w ich zwyczajach i przesądach, w ich bogatych utworach poetyckich. Obok nieograniczonego zamiłowania do wolności, obok umysłu spokojnego, skłonnego do wybryków, wytworzyła się tu nieudolność, a nawet lekkomyślność w sprawach życiowych.“

Podstawa jego bytu—wypasanie stad wyżej położonych i często bardzo odległych połoninach, zrobiła z Hucuła typ pasterza—koczownika. Automatycznie ze zmianą pór roku, wędruje zamyślony pasterz na połoniny i tam w wielkiej zadumie, po-

dobny do jakiegoś mędrca—filozofa, strzeże swego stada aż do pierwszego śniegu. Bogate zwyczaje i zabobony, związane z wypędzaniem trzód na paszę, podobne są całkowicie do odpowiednich zwyczajów u górali podhalańskich.

Huculi nie są zbyt pracowitymi i tylko w decydujących chwilach potrafią pracować za kilku, wiedząc dobrze, że z naturą żartów niema.

Do przyjemności należą u nich zabawy i pijatyki, którym oddają się bardzo często, nie bacząc na skutki, jakie to im wyrządza. W życiu codziennem nigdy nie rozłączają się z nieodstępną charakterystyczną fajką. którą palą nietylko mężczyźni ale nawet i kobiety. Przywiązanie Hucuła do swych gór i odczucie wolności naprawdę niema granic. Ziemia bez gór, dzikich lasów i połonin jest dla niego dłuchą i nic nie mówiącą. Ale nie bacząc na to musi czasem opuszczać ojcowiznę i płynąc w dół, aż do Dniestru, by zdobyć tu kawałek chleba. Wychodztwo i wędrówki pasterskie górali są znów rezultatem wpływów natury, wśród której górale się znajdują. Jeszcze jednym przykładem tego wpływu będą środki lokomocji w górach. Drogi i ścieżki górskie są rzeczą nową i spotyka się je zaledwie tam gdzie jest gęstsze zaludnienie. Jedynym środkiem lokomocji w Huculszczyźnie są małe leniwe ale bardzo wytrwałe i ostrożne koniki zwane też Hucułami. Takiemu konikowi z pełnem zaufaniem można powierzyć swe życie nawet w najgorszych ostępach i debrach. Hucuł i Hucułka—powiada Chmielewski—zrośli się ze swemi konikami. Kobieta często wyręcza męża w odwożeniu bryndzy i żentycy, konno odbywa z nim wyprawy do miasta po sprawunki do sąsiadów z wizytą nic też dziwnego, że w weselu huculskiem, konną jazdę uważa się jako zasadniczą część obrządku i orszaku ślubnego nikt tam na furmankach nie zobaczy. W czasie wycieczek w Huculszczyźnie, na każdym kroku prawie możemy spotkać konnego Hucuła albo Hucułkę z fajką w zębach, siedzącą na koniu po męsku. Do takiej jazdy Hucułki mają strój przystosowany, bo zamiast spódnicy noszą na koszuli dwa barwne szerokie fartuchy jeden z przodu, drugi z tyłu, które zachodzą na siebie nawzajem, a w jeździe nie przeszkadzają. Najczęściej Hucułów można oglądać w dnie świą-

teczne w Zabiem i Kosmaczu, a także na jarmarkach i odpustach, gdzie sprzedają oni oryginalne wyroby z drzewa i sukna.

Najoryginalniejszą może cechą Huculów jest bardzo wolny stosunek kobiet do mężczyzn. Obowiązek wierności małżeńskiej u nich prawie że nie istnieje, prawie każdy żonaty Hucuł ma swoją kochankę, zwaną „lubaską" i najciekawszym może jest to, że pożycie takie wydaje się Hucułom rzeczą całkowicie normalną.

Stroje Huculów barwne, a prócz tego higjeniczne i dostosowane do odpowiednich ruchów ciała, wskazuje na ogromnie rozwinięte poczucie artystyczne. We wszystkich stroje są z przewagą koloru czerwonego, pięknie odbijającego się od zieleni lasów, białe koszule i serdaki bogato wyszywane w oryginalne wzory, zapomocą których odtwarza góral przyrodę. Że tak jest, widzimy z tego, że najczęstszym motywem u Huculów są formy i barwy różanecznika, gdy natomiast u górali podhalańskich motywy szarotki lub karliny. Wielką popularnością cieszą się niezrównanej piękności rzeźbione i inkrustowane talerze, kasetki, toporki i t. p.

Wybitne stanowisko w sztuce ludowej zajmują również huculskie pisanki wielkanocne.

Wogóle całą sztukę ludową huculską charakteryzuje niezwykłe bogactwo form i ornamentów, często bardzo nawet skomplikowanych, ale mimo to odznaczających się precyzją i czystością wykonania, a przedewszystkiem harmonją barw.

Niestety, dziś z każdym dniem Huculi zatracają swoje pierwotne cechy, zwyczaje i obyczaje.

Wpływa na to ogólny przewrot stosunków i wartości po wojnie światowej, bardzo znaczne zubożenie Huculów, ale najbardziej zabójczo oddziałuje tu t. zw. „cywilizacja miejska", mająca na celu zysk materjalny i umiejętnie dążąc do swego celu, ośmieszająca przed ludem jego zwyczaje, obyczaje, sztukę i t. p.

Tak w krótkości przedstawiałaby się próba zestawienia Karpackich Górali Korzeniowskiego z dzisiejszymi Hucułami.

Włodan.

ZAMACH NA KOEDUKACJĘ.

Podsłuchał Wtajemniczony
W pokoju nauczycielskim.

Głos poważny...—Rzeczywiście, że nauka na tem traci,

Głos dyskretny.—Żeby to tylko nauka! Na tem, proszę państwa traci przedewszystkiem moralność. Gdzie tylko się ruszyć—wszędzie widać chłopców z dziewczętami.
Czyż jedni nie mogą żyć bez drugich?

Głos pogodny. —No, więc cóż w tem złego?

Głos ostry. —Demoralizacja i koniec! Na dziedzińcu parki, na korcie parki, na kurytarzu parki, ba, nawet w pracowniach dziewczęta siadają obok chłopców.

Głos pogodny. —Pytam jeszcze raz, co to szkodzi? To dobrze, że się oswoją ze sobą.
Wytwarza się stosunek koleżeństwa.
Dla naszej uczennicy chłopiec nie będzie sensacją, bo spotyka go ciągle, z nim się uczy, z nim się bawi. Nie będzie też dla niej nadzwyczajnym ideałem, bo słucha codzień jego odpowiedzi, często niedorzecznych, albo przynajmniej niezgrabnych.

Głos dyskretny.—To też mnie nie o dziewczęta chodzi, ale boję się o chłopców.

Głos wesoły. —Ha! ha! ha!

Głos ostry. —Niema się czego śmiać! Jak sobie chłopak głowę zawróci panną, to już wtedy zupełnie niezdolny jest do pracy umysłowej.

Głos bezceremonjalny.—A panny to i bez tego niezdolne są do pracy umysłowej.

Głos stanowczy. —No, no, tylko proszę mnie nie prowokować.

Głos swobodny. —Ja bo tam nie widzę nic złego w koedukacji. Owszem, przynajmniej jest wesoło.

W KLASACH.

W kl. VII Głosy cienkie.—Nam wszystko jedno, byleby tylko ósma klasa została.

Głosy drwiące. —Wiemy, wiemy, wszystkie panny zaręczone....

KLASA VI.

Głosy niewyrobione. —Nie damy swoich koleżanek!..

Głosy cienkie. —I owszem, nasi koledzy są sympatyczni.

KURS IV.

Głosy cienkie. —My chcemy więcej chłopców!

(Głosów grubych —nie słychać).

KURS III.

Głosy cienkie. —O wa! przynajmniej nie będzie miał kto gderać!

Głosy ostre. —(Milczą złowieszczo).

KLASA IV.

Głosy dzikie. —Precz z dziewczynami!...

Głosy cienkie. —Bez was się tu obejdą!...

We wszystkich klasach panuje zamęt nie do opisania. Zdaje się, że koniec świata bliski

(Szczęściem, że mi się to wszystko śniło).

O KÓŁKU ŻYWEGO SŁOWA

— słów kilka.

Organizacja nasza istnieje od niewielu (około 5) miesięcy. Powstała ona na pewnych, ściśle określonych paragrafami statutu, prawach. Ale życie wytworzyło nowe, niepisane prawa. A więc ilość osób, określona dokładnie i objęta oficjalną listą (ponad 30 osób w każdej z dwu grup), rozszerzyła się niepomiernie, objęła bowiem materjał ludzki płynny, przejściowy, wzięty przygodnie do różnych, poszczególnych imprez. Ale to i lepiej, nie zamierzamy bowiem produkować zawodowych aktorów, a idzie nam o to, aby jak największa ilość młodzieży zapoznała się z teatrem nieco bliżej, aby rozwijała w sobie pewne, tak bardzo w życiu przydatne umiejętności, jak umiejętność pięknego wypowiedzenia pięknego słowa, lub choćby tylko nauczyła się odczuwać i cenić „wyraziste słowo". Po za osobistem zadowoleniem, jakie stąd płynie, można posługiwać się temi umiejętnościami w pracy dla bliźnich, przedewszystkiem—w pracy oświatowej.

Członkowie Koła grupują się w dwa ogniska: młodsze i starsze kółko. Oczywiście, po za odrębnemi ćwiczeniami, odpowiedniemi dla każdej grupy, łączą się one w większych wspólnych imprezach. Takie właśnie pomieszanie nastąpiło w dwóch dotychczasowych występach naszych („Karpaccy górale" i „Racławickie kosy"). Co do samych owych imprez, to dalecy jesteśmy od myśli, żeby one były doskonałe. Zarówno wybór sztuk, jak i wykonanie można poddać krytyce i zarzuty mogą być dostatecznie umotywowane. Sądzę jednak, że nawet to, co było, zdołało dostarczyć widzom trochę przyjemności i wskutek tego zasługuje na docenienie. A przytem.. niechże czcigodni krytycy zechcą wziąć pod uwagę trudności, z jakiemi się Kółko boryka. Wszak kierownik Koła zdążył się już narazić wszystkim władzom: zarówno dyrekcjom szkół, jak i przełożonym internatów, „wprowadza on bowiem dezorganizację do życia szkolnego i internatowego". A przecież trzeba kiedy znaleźć czas na owe nieszczęsne próby. Więc wyżebruje się godziny higjenicznego spaceru od Władz internatów, stacza się walkę z profesorem muzyki

o wieczory i święta, targuje się niemal z Bogiem samym, że dzień jest taki krótki!.. A inne troski! owo usilne zabieganie o „grosze“ na kostjumy u Dyrekcyj szkół, o pomoc przy dekoracjach u Wydziału Technicznego.. Doprawdy, kłopoty „dyrektora“ Teatru Licealnego dadzą się porównać jedynie z kłopotami Redaktora „Widnokręgu“!

Ale ma Koło i swoje przyjemności (choć bardzo rzadkie). Taką nagrodą za troski bywają nieliczne, ale zato poważne głosy pochwały i zachęty.

Taką najwyższą nagrodą było przyjęcie, jakiego Koło doznało w Domu Robotniczym w Surażu, gdzie wystawiono „Racławickie kosy“. Owo wzruszenie, jakiego się doznało na widok radości i zachwytu niezepsutej występami Reduty publiczności (przeważnie Rusinów), a także myśl, że się przy tej okazji było narzędziem w ręku krzewicieli kultury na Wołyniu. Tam się naocznie zobaczyło, czem może być teatr dla ludu wiejskiego. Dlatego też sądzę, że w przyszłym roku uda się to wyrobić u naszych Władz szkolnych, żeby w naszem życiu, objętem klamrami przepisów, regulaminów i programów, znalazło się miejsce i na teatr szkolny.

A. R.

KRONIKA.

1. KARPACCY GÓRALE.

Staraniem Koła Żywego Słowa młodzieży Liceum w Sali Teatralnej Liceum został czterokrotnie odegrany dramat Józefa Korzeniowskiego p. t. „Karpaccy Górale“. Dnia 9. III. odbyło się przedstawienie dla Szkoły Cwiczeń i młodszego Gimnazjum, 10. III.—dla publiczności z miasta, 12. III.—dla starszej młodzieży licealnej i 13. III.—dla młodzieży ze szkół miejskich.

2. IMIENINY MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

Z racji imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego, przypadających na 19. III., dnia 18. III. wieczorem w Sali Kolumnowej odbył

się raut dla profesorów i urzędników licealnych i ich rodzin, oraz dla maturzystów Gimnazjum i Seminarjum. Na program złożyły się produkcje orkiestry symfonicznej i chóru, deklamacje i piosenki legjonowe.

W dniu 19. III. odbyły się akademje: rano dla młodzieży licealnej, wieczorem dla publiczności z miasta. W najbliższą niedzielę odbyła się akademja dla rodziców młodzieży.

Dia 19. III. odbyły się zawody: marsz 8-miokilometrowy, do którego stanęło 8 drużyn.

Pierwsze miejsce w zawodach zdobyła drużyna licealna (składająca się z uczniów Gimnazjum i Seminarjum), drugie— drużyna licealna harcerska, trzecie — drużyna 12 p. Ułanów, czwarte miejsce—drużyna Szkoły Rzemieślniczej z Wiśniowca.

3. RACŁAWICKIE KOSY.

W dniach 22. III. i 23. III. młodsza grupa Koła Żywego Słowa wystawiła sztukę ludową Marji Gerson—Dąbrowskiej „Racławickie kosy“ dla szkół powszechnych z miasta i Szkoły Cwiczeń.

4. KURS WYCHOWANIA SPOŁECZNEGO.

W dniach od 26. II. do 5. III. odbył się kurs wychowania społecznego dla uczniów V. kursu Seminarjum. Na kurs złożyły się: 1. wykłady p. D-r. Wł. Tatarzanki o chłopach w historji i literaturze polskiej, 2. wykłady p. prof. Hoffmana o rozwoju kultury ludowej, 3. wykłady p. Wizytatora Cierniaka o teatrze ludowym (inscenizacja pieśni ludowych), wykłady p. Inspektora Deca o życiu społecznem i kulturalnem ludu wiejskiego.

Wykłady p. prof. Hoffmana były ilustrowane przeźroczami i oryginalnemi okazami.

Od 16. IV. do 23. IV. odbył się drugi kurs wychowania społecznego. Na tym kursie p.p. prelegenci w swoich wykładach omawiali sprawę spółdzielczości na wsi. — P. Przegaliński mówił dziejach spółdzielczości, p. Dec—o rodzajach spółdzielni i ogólnie o ich organizacji, p. Śliwiński dawał szczegółowe wskazówki ty-

czące się prowadzenia spółdzielni sożywców p. Ostafin omawiał kwestję produkcji rolnej, p. Andrzejewski — o współpracy kasy Stefczyka ze spółdzielnią rolniczo—handlową i o rachunkowości w spółdzielniach. Z p. Andrzejewskim uczniowie V. kursu zwiedzili spółdzielnię rolniczo—handlową w Krzemieńcu.

5. KOŁO PRACY SPOŁECZNEJ.

Z inicjatywy p. Inspektora Deca i Dyrekcji Seminarjum powstało Koło Pracy Społecznej, którego członkami są narazie uczniowie IV. i V. kursów Seminarjum (Członkami Koła mogą być uczniowie III. kursu i starszych klas Gimnazjum). W skład zarządu Koła wchodzą: kol. Bałysz Al. jako przewodniczący, kol. Minkacz Grz.—jego zastępca, kol. Biedakowski iako sekretarz, kol. Woźniakowska — zastępca sekr. i kol. Barańska — jako skarbnik.

Opiekunem Koła jest Dyrekcja Seminarjum.

Celem Koła jest: 1. samokształcenie się w dziedzinie pracy społecznej, 2. szerzenie oświaty w okolicznych wsiach i uspołecznianie tych wsi.

6. ODCZYT J KADEN-BANDROWSKIEGO.

Wybitny współczesny literat i mówca J. Kaden-Bandrowski dnia 22. IV. zaszczycił nas swoim przybyciem do Krzemieńca i wygłoszeniem odczytu dla młodzieży szkół średnich na temat „Duch entuzjazmu polskiego". W zwięzłych i pięknych słowach mówca omówił PROROCTWO Mickiewicza, MUZYKĘ Chopina, MITY Wyspiańskiego i CZYN Piłsudskiego.

7. WYCIECZKA GRONA NAUCZYCIELSKIEGO LICEUM KRZEMIENIECKIEGO DO WIEDNIA.

W czasie feryj świątecznych grono nauczycieli i wychowawców Liceum zorganizowało wycieczkę do Wiednia pod kierownictwem p. Wizytatora Dobrowolskiego i p. profesora Mączaka (jako zastępcy). Głównym celem wycieczki było zapoznanie się z nowoczesną organizacją szkolnictwa wiedeńskiego. Wycieczka

trwała od 3. III. do 19. III.

8. ZJAZD KÓŁ MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ w LICEUM.

Dnia 21. IV. odbył się drugi z kolei (pierwszy był w październiku, 1928 r.) zjazd Kół Młodzieży Wiejskiej w Liceum. Na tym zjeździe młodzież, zorganizowana w K. M. W. miała możność pokazania wyników swej pracy w gospodarstwie, jakoteż pracy kulturalno — oświatowej.

Od 10 godz. rano była wystawa racjonalnie hodowanej trzody chlewnej, następnie przyznanie nagród za najlepiej wyhodowane sztuki. Pierwsza nagroda (wartości 250 zł.) została przyznana Józefowi Dolczakowi ze wsi Andruha. Dwie drugie nagrody wynosiły po 150 zł., dwie trzecie — po 100 zł.

Następnie zostały przyznane nagrody za czyszczenie sadów. Potem odbył się konkurs chórów. Pierwszą nagrodę (dekoracja sceny) otrzymał chór z Zahajec, drugą (skrzypce) — chór z Bereżec, trzecią (nuty) — chór z Andruhy. Po obiedzie odbyły się obrady uczestników zjazdu. Potem z sali obrad (kolumnowej) wszyscy udali się na „Racławickie kosy“, odegrane specjalnie dla uczestników zjazdu przez Koło Żywego Słowa. Zjazd został zakończony wieczorkiem, na który się złożyły zabawy towarzyskie i tańce.

Przyjmowaniem uczestników zjazdu i zorganizowaniem wieczoru zajął się V. kurs Seminarjum.

CENA ZESZYTU 80 GR.
DLA MŁODZIEŻY 50 GR.

Adres administracji: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Wydawca: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego pozostające pod opieką profesora Fr. Mączaka.

Redaguje komitet w następującym składzie: A. Sobczuk, A. Steciuk, J. Diksztejn, M. Tkaczuk, B. Gumuła, B. Poniatowska, M. Sołtykiewiczówna, W. Bliźniukiewicz, E. Mielnikówna oraz p.p. prof. A. Ruskowa, Fr. Mączak, J. Trzcieniecki.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ DANILCZUK.

KRZEMIENIEC,
Drukarnia „SŁAWA"
SZEROKA № 76.